

PORWANIE ORŁA BIAŁEGO

Mečislav Borák

Było krótko po północy, czas był bożenarodzeniowy, dzień 26 grudnia 1938 r. Portier polskiego konsulatu w Morawskiej Ostrawie, Karol Szypczyk, człowiek tutejszy na polskim paszporcie, siedział w holu i przez szklaną płytę frontowych drzwi obserwował tonącą w mroku ulicę Johannego. Ulica należała w mieście do bardziej ruchliwych, ale teraz, późną nocą, w dodatku w okresie świąt, również w niej rozgłościła się już senność i tylko płatki śniegu cicho opadały na ziemię. Szypczyk szykował się właśnie zejść do piwnicy, aby przyłożyć do pieca ogrzewania centralnego, gdy nagle doszedł go z pola dziwny chropot. Klamka u drzwi poruszyła się. Na szybie mgliście zarysowała się postać mężczyzny. Widocznie ktoś chciał sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Portier nie zwlekając przebiegł do sąsiedniego pokoju, skąd miał dobry widok na całą ulicę i zdążył jeszcze zobaczyć jakąś osobę, jak szybko znika za rogiem. Naprzeciw domu stał na chodniku strażnik; już od kilku tygodni bowiem budynek konsulatu dniem i nocą strzegła policja. I znowu dookoła zapadła niczym nieznaną cisza.

Portier zszedł do piwnicy. Kiedy w dziesięć minut później znowu znalazł się

w holu, osłupiał z wrażenia. Z drugiej strony frontowych drzwi ktoś jeszcze przed chwilą wspinał się po ozdobnej kracie i akurat teraz zeskakiwał na chodnik. Portier podbiegł do drzwi. Kiedy wreszcie odważył się je otworzyć, dojrzał już tylko kilka rozplywających się w ciemnościach ludzkich sylwetek. Na drodze zobaczył ślady butów w śniegu, a także głęboki odcisk jakiegoś owalnego przedmiotu. Pełen złych przeczuć odwrócił się w stronę budynku, podniósł głowę i zdrętwiał po raz drugi: godło państwowe Rzeczypospolitej Polski, blaszana tarcza z białym orłem, zniknęło.

Tak rozpoczyna się historia, która w owym czasie wywołała większe poruszenie niż strzelanina na nowej czechosłowacko-polskiej granicy, napady z użyciem granatów, podpalenia i potyczki bojówek terrorystycznych obydwu zwaśnionych stron razem wzięte. Większość tamtych incydentów wywołana została na terenie Śląska Cieszyńskiego, oddanego po wydarzeniach w Monachium Polsce. Ostrawa leżała jednak w głębi czeskiego terytorium. W dodatku chodziło przecież o symbol. Kradzież godła z suwerennego terenu obcego państwa, a takim terenem siedziba konsulatu niewątpliwie była, tylko przy

rzeczywiście sporej dawce fantazji dałaby się porównać do kradzieży ludowej moiki, dokonanej przez paczkę chłopaków z sąsiedniej wsi. A ile taki niewinny żart potrafi napsuć krwi! Polacy mieli więc powody czuć się obrażeni i upokorzeni, Czesi zaś odczuwali złośliwą satysfakcję. Oficjalnie jednak nie mogli tego okazywać, tak więc powoli rozpoczęli śledztwo.

Krótko po godzinie dziesiątej radca policji w Ostrawie, Pešek, zameldował o nocnym zajściu w Urzędzie Krajowym w Brnie, a stamtąd poinformowano o wydarzeniu Prezydium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Pradze. W pierwszym meldunku podkreślono, że strażnicy pilnowali konsulatu przez całą noc i niczego podejrzanego nie zauważyli. Podobno na drugim piętrze budynku światło paliło się do północy, a z otwartych okien „słyszać było stamtąd hałas rozbawionych osób”. To radcy Pešce prawdopodobnie podsunęło myśl, jak można by bardzo prosto wytłumaczyć całe zajście: „Jak wynika z dotychczasowego śledztwa, nie jest wykluczone, że pracownik konsulatu Šypčík sam zrzucił godło na ulicę, do czego posłużyło mu okno, które otwiera się do wewnątrz i z którego polskie godło państwowe jest łatwo dostępne”. Ostrawski dyrektor policji, radca rządowy Bača, dodał jeszcze: „Czynię starania o widzenie się z polskim konsulem w Morawskiej Ostrawie, aby wyrazić mu słowa swego ubolewania nad tym, co się stało, chociaż mam poważne wątpliwości co do aktorów incydentu, zapewnię go też, że sprawa zostanie jak najsumienniejsz zbadana, a winowajcy ukarani.”

Praga jednak nie mogła być zadowolona z takiego potraktowania sprawy. Zaraz po południu doktor Myšák z ministerstwa spraw wewnętrznych przekazał do Ostrawy wiadomość, że wkrótce zjawi się tam inspektor generalny czechosłowackiej po-

licji i osobiście poprowadzi śledztwo. Jednocześnie zadał cztery pytania, na które radca Pešek natychmiast odpowiedział.

Czy strażnik w czasie pełnienia służby przed konsulem widział leżeć na ziemi godło państwowe? Nie widział, Szypczyk pokazał mu tylko odcisk jakiegoś przedmiotu w śniegu.

Dlaczego pracownik konsulatu natychmiast nie przywołał strażnika? – Portier na to pytanie podobno nie odpowiedział, napomknął natomiast, że w przyszłości przeciwko intruzom użyje broni.

Czy przed budynkiem konsulatu był śnieg, który tłumiłby uderzenie? – Na chodniku śnieg był zdeptany, jednak na drodze było około 20 cm sypkiego śniegu, tak więc upadek tarczy w tym miejscu nie powodował hałasu.

Na jakiej wysokości na budynku tarcza była przymocowana? – Na wysokości 4 m, tak więc dotrzeć do niej bez pomocy drabiny jest rzeczą niemożliwą, podobnie jak wspinać się do niej po kratkach drzwi frontowych.

Następnego dnia dr Kropáč z ministerstwa spraw wewnętrznych poinformował o otrzymaniu oficjalnego protestu polskiej ambasady w Pradze. W przeciwieństwie do twierdzeń policji ambasada utrzymywała, że w krytycznym momencie konsulatu przez nikogo nie był strzeżony, tak więc portier Szypczyk nie miał komu zameldować o incydencie. Z Ostrawy nadeszła odpowiedź, że Szypczyk zmyśla i że przedstawił już trzy różne wersje zdarzenia, w zasadniczych punktach ze sobą sprzeczne. Jego wypowiedzi są niezgodne z zeznaniami pełniących służbę policjantów, którzy właśnie o godzinie pierwszej w nocy zmieniali się przed budynkiem konsulatu.

Posterunkowy Jan Strýček zeznał, że po północy cała ulica Johannego była już

pusta, w tym miejscu jest ona dobrze oświetlona, tak więc z pewnością musiały zauważyć nocnego przechodnia. Posterunkowy Jaroslav Votípka zeznał, że dopiero o godzinie 01,10 potrier Szypczyk wybiegł z konsulatu i oznajmił mu, że jakoś przed północą nieznaną mężczyzna ukradł z budynku godło państwowe, do którego wspiął się po kracie drzwi. Votípka poszedł o tym zameldować na główny posterunek, który mieści się przy rynku, swojemu przełożonemu, chorążemu policji, Josefowi Hromasowi. Hromas natychmiast wyruszył na miejsce zdarzenia, gdzie dokonał wstępnych oględzin. Krata na frontowych drzwiach była przysypana śniegiem i nic nie wskazywało na to, by tędy ktoś się mógł wspinać. Szklana płycina drzwi tuż za kratą była nie naruszona. A do tego jeszcze ta wysokość! Chorąży przeprowadził wizję lokalną: posterunkowemu Votípce kazał leżeć po kracie, jak najwyżej będzie to możliwe. Votípka wprawdzie zdołał ucześcić się ozdobnych głowic, ale zaraz potem ześliznął się i spadł na chodnik. Również woźny Szypczyk próbował wspinać się po kracie, i z tym samym skutkiem. Chorąży doszedł więc do wniosku, że po kracie nie można się wspinać i udał się o tym zameldować dr. Svobodzie, pełniącemu w tym czasie służbę w dyrekcji policji. Rano radca Pešek spisał protokoły ze wszystkimi posterunkowymi, którzy uczestniczyli w nocnym zdarzeniu, a sławne drzwi konsulatu kazał urzędowo wyfotografować.

W dzień później, 27 grudnia, dyrektor policji Bača, złożył wizytę konsulowi Bociąnskiemu. Gorąco przeprasząc go, obiecał przeprowadzić szczegółowe śledztwo. Wyjawił mu także, że do Ostrawy już przyjechał generalny inspektor czechosłowackiej policji, dr Kráčmar, który poprowadzi dochodzenie także w sprawie wszystkich innych zając, wyszczególnionych w nocie

dypłomatycznej polskiego rządu. O wielu sprawach długo z sobą rozmawiali, począwszy od wysiedlania i dręczenia Czechów na zabranym terytorium, a skończywszy na działalności nielegalnej antypolskiej radiostacji i atakach bojówek z użyciem granatów. Wtedy jeszcze pan radca nie mógł przeczuwać, że do takiego właśnie ataku dojdzie już wkrótce, i to wprost w Morawskiej Ostrawie.

Celem było ponownie polskie godło państwowe, orzeł nad frontonem okazałego budynku Domu Polskiego. 30 grudnia nieznaną sprawcą chciał zniszczyć polskie godło, rzucając w nie granatem. Trafił jednak w ścianę, dwa metry niżej, tak więc w czasie wybuchu stłukło się tylko parę płytek w oknach sali tanecznej i został ranny przypadkowy przechodzień. Inicjatorem tajnej akcji był rzekomo radca policji Zwieb. Prowokacja miała posłużyć za pretekst do zamknięcia Domu Polskiego, a raczej, podobnie jak miało to już miejsce w wypadku polskich szkół w Ostrawie, do jego przeznaczenia na mieszkania dla czeskich uchodźców z terenu zajętego przez Polskę. W czasie akcji zranił się jednak własnym granatem jeden z napastników i przebieg wypadków został później przedstawiony jako starcie z polską bojówką. Aby ukrócić ciekawość wścibskich dziennikarzy, na incydent nałożono ostrą cenzurę. Ostrawska dyrekcja policji domagała się przysłania posiłków, dodatkowych 80 policjantów, „aby w ten sposób mogła zapewnić skuteczną ochronę wszystkich polskich budynków i mieszkań pracowników polskiego konsulatu.“

Przez cały następny tydzień w sprawie skradzionego godła państwowego nie było żadnych nowych informacji. Ale 2 stycznia 1939 r. z Ostrawy do Brna i Pragi został wysłany dumy meldunek: zaginiony orzeł odnalazł się, złodziej został schwytyany

i aresztowany. Nieszczęsny strażnik Stryček teraz już nie mógł twierdzić, że tamtej nocy niczego nie zauważył, ponieważ został urzędowo suspendowany.

W swoim raporcie dyrektor policji, Bača, z nieukrywaną satysfakcją rozwodził się nad tym, jak to jego „wstępne dochodzenie” doprowadziło sprawę do pomyślnego końca: „Poczyniłem wszelkie możliwe kroki, które umożliwiłyby wyjaśnienie sprawy, przede wszystkim zostało wszczęte szczegółowe śledztwo, prowadzone w domach sąsiadujących z polskim konsulem w celu uzyskania wypowiedzi ewentualnych świadków, którzy w krytycznym momencie znajdowali się niedaleko miejsca zdarzenia. Jednocześnie przeprowadzono drobiazgowo oględziny miejsca, gdzie sprawcy mogli odrzucić skradzione przedmioty. Za pośrednictwem powiernika rozpoczęto przesłuchania w środowiskach, z których sprawcy mogli się wywodzić”. Może tylko ostatnie twierdzenie meldunku było prawdziwe, ale należałoby je jeszcze uzupełnić o pewien ważny szczegół: za dostarczenie poufnej informacji o charakterze zasadniczym pan radca wyznaczył nagrodę w wysokości 1 000 Kč.

I sprawca się znalazł. Podobno jeden z powierników natychmiast przyniósł skradzione godło, a także ujawnił złodzieja. Żeby nie narażać własnego bezpieczeństwa nie chciał tylko powiedzieć, gdzie dokładnie godło było schowane; podobno gdzieś we Frydeckiem. Nieco uszkodzone godło urzędnicy policji zanieśli na konsulat i na miejscu sprawdzili, czy dokładnie pasuje do spoiny na żelaznym drążku, od którego złodziej godło oderwał. Żądali potem wydania dokumentu następującej treści: „Polski konsulat potwierdza niniejszym dla potrzeb tutejszego urzędu, że dostarczone godło jest identyczne z godłem, które

zniknęło w dniu 26 grudnia 1938 r.” Wartość godła została oszacowana na 40 złotych i 60 groszy.

Sprawcą kradzieży okazał się Josef Koch, urodzony w Stonawie, przynależny do Karwiny, od 26 listopada 1938 r. uchodźca żyjący w Ostrawie. Z zawodu był ślusarzem, wiedział więc, w jaki sposób należy odłamać kawałek przyspawanej blachy. Miał 21 lat, mógł więc wspinać się po kratkach na pewno z pewnością, niż obydwoj uczestnicy policyjnej rekonstrukcji.

Jak wynika z jego wypowiedzi, 25 grudnia odwiedził gospodę Kleinera przy ulicy Długiej niedaleko starego ratusza i przypadkowo dosiadł się do mężczyzn, którzy rozmawiali o sytuacji w Cieszyńskiem. Wtrącił się do rozmowy, opowiadając o własnych przeżyciach. Rozmowa zesłała na temat zamykania czeskich szkół, rozwiązywania czeskich organizacji w Cieszyńskiem, zatem co w Ostrawskiem Polakom tego się nie robi. Na jednym domu, tu w pobliżu, podobno wisi nawet ich godło państwowe, ale tak wysoko, że bez drabiny nikt nie dałby rady je zdjąć. Koch poszedł o zakład, o 10 Kč, że godło zdejmie. Zrobiła się północ i gości zaczęto wypraszać z gospody, niech kończą i idą do domu. W towarzystwie trzech innych mężczyzn Koch wyruszył po swoją wygraną. Do konsulatu podeszli od strony domu handlowego ASO, ale na chodniku stał policjant. Uradzili więc sposób, jak go stamtąd odciągnąć. Koch obszedł cały kompleks budynków od tyłu, ulicami Michała Hodży, Hwiezdoslawową i Strzelniczną, i pod konsulat doszedł z drugiego końca ulicy Johannego. Jak tylko zobaczył go kolega, który stanął na skrzyżowaniu naprzeciw konsulatu w charakterze obserwatora, zamachał czapką. To był umówiony znak dla pozostałym dwu kumpłi, którzy w ujściu ulicy Michała Hodży do ulicy Hwiezdoslawowej

zaczęli się awanturować, a nawet upozorowali bójkę. Strażnik opuścił swoje stanowisko przed konsulatem i wszedł do ulicy Hodży, aby uspokoić pijaków nie wiedząc, że tym samym dał Kochowi tych kilka cennych minut na przeprowadzenie akcji. Koch szybko wskoczył na klampkę i po ozdobnym zakratowaniu wspiał się ku górze, lewą ręką uczepił się tarczy z godłem i całym ciężarem ciała zawiesił się na nim. Spaw, podobno, pękł w ciągu dwu sekund i tarcza runęła w śnieg na drogę. Koch zeskoczył na chodnik, schował tarczę pod płaszczem i jak gdyby nigdy nic szedł z powrotem w stronę domu handlowego ASO. O włos rozminął się ze strażnikiem, który niczego nie podejrzewając, wracał ku konsulatu. Przed domem ASO mieli na Kocha czekać znajomi, ale, podobno, nie było tam już nikogo, sam więc poszedł do schroniska Czerwonego Krzyża dla uchodźców, gdzie mieszkał. Swą zdobycz schował pod siennik, a rano zagrzebał w piwnicy w skrzyni z popiołem. Imion swoich przypadkowych kumpli nie zna i nic więcej nie może powiedzieć. Co najważniejsze, w ogóle nie podejrzewał, że budynek, na którym wisi godło, jest siedzibą polskiego konsulatu.

Załącznikiem do protokołu był szkic miejsca wypadku, narysowany przez policję. Mogłem więc wyruszyć śladami wydarzeń sprzed sześćdziesięciu lat. Wszystko znajduje się na swoim dawnym miejscu, tylko stare nazwy ulic zniknęły. Wzdłuż domu towarowego ASO (obecnie ASOR) ulicą Johannego (dziś Sokolską) dotarłem do pierwszego skrzyżowania z ulicą Michała Hodży (dziś Na hradbách). Przed wejściem do domu numer 8 stał wówczas strażnik Strýček, zanim odciągnęła go stamtąd nocna awantura. Narożny secesyjny dom z numerem 13 (dziś 15), stojący naprzeciw skrzyżowania, jest bogato

zdobiony stukowymi ornamentami i ma ozdobną kratę w drzwiach frontowych. To przecież to samo miejsce, siedziba byłego polskiego konsulatu (dziś Podstawowa Szkoła Artystyczna). Drzwi chyba w ogóle nie uległy przeróbkom, tylko chodnik podniósł się do poziomu progu domu. Ozdobne zagięcia krat, szklana płycina za nimi – wszystko jak dawniej. Po drugiej stronie ulicy, na rogu, stał wówczas sygnalista z czapką, najpierw odciągnął policjanta, a potem prawdopodobnie pomagał sprawcy. Fałszywi awanturnicy stali gdzieś w pobliżu budynku radia. Dawna ulica Hwiedzloslawowa dzieli się dziś na ulicę Zeyera, zagrodzoną obecnie dobudówką domu towarowego PRIOR, stojącą na parceli, gdzie naziści spalili główną ostrawską synagogę, i na ulicą Šmerala, z której sprawca wchodził wówczas na ulicę Strzelniczną (dziś ul. Dvořáka), a stamtąd z powrotem szedł pod konsulat. Sprawdziłem. Rzeczywiście, cała akcja mogła trwać zaledwie parę minut. A wartownik Strýček nie kłamał, kiedy twierdził, że nie ruszył się z terenu obydwu ulic i nic podejrzanego nie widział i nie słyszał. Kiedy po krótkiej chwili wracał od radia przed konsulat, godła już nie było. A on nawet tego nie zauważył.

Sprawców przesłuchiwał radca policji Arnold Zwieb, była już mowa o jego sympatiach do antypolskich bojówek. Przesłuchanie osobiście zapisywał do protokołu inspektor rejonowy, František Březina, kolejna ciemna postać ostrawskiej dyrekcji policji. To on był tym, który aresztowanym członkom „Slezskiego odboju” radził, jak mają zeznawać, aby skutecznie unikać odpowiedzialności karnej. Prawdopodobnie poradził także Kochowi, aby nie podawał nazwisk swoich współników, nie przyznawał się do tego, że wiedział, iż chodzi

o placówkę konsulatu, a całe zajście przedstawił jako pijacki zakład.

Protokoły Nadzwyczajnego Sądu Ludowego w Ostrawie, przed którym po wojnie stanął Březina, potwierdziły te moje podejrzenia. Březina miał w swojej pieczy sieć powierników policji ze Śląska Cieszyńskiego, dlatego też jemu dyrektor Bača powierzył zadanie znalezienia sprawców. Przekazał mu także ową nagrodę. Do schroniska Czerwonego Krzyża Březina szedł na pewniaka i tam spotkał się z Ervínem Sikorą. Wiedział, że Sikora należy do kierownictwa jednej ze struktur „Slezkiego odboju“ i niedawno (7 grudnia) brał udział w starciu zbrojnym w Dziečmoro-wicach. Sikora obiecał, że za godzinę pośle mu do kawiarni człowieka, który uczestniczył w akcji przed konsulem pod warunkiem jednak, że uzyska dla niego gwarancję bezkarności. Březina przyjął warunek. Młodzieniec o nazwisku Koch rzeczywiście zjawił się w kawiarni i szczegółowo opowiedział, jak to z kolegami oszukali strażnika, jak z pomocą jednego z kumpi zdjął godło i jak odnieśli je do schroniska na Fifejdach. Pokazał Březinie schowek i razem wygrzebali tarczę. Przed dyrektorem Bačą Březina zamilczał znane mu już teraz nazwiska trzech współników Kocha, chcąc chronić ich przed wymiarem sprawiedliwości. Musiał jednak podać przynajmniej nazwisko informatora, pomimo tego że obiecał mu bezkarność. Bača upierał się przy tym, że sprawca musi zostać ukarany 14 dniami policyjnego aresztu, a dopiero potem przekazany sądowi, inaczej on nie mógłby dotrzymać obietnicy danej polskim urzędom, a obiecał, że sprawca zostanie surowo ukarany. Po przekazaniu Kocha sędziemu śledczemu Březina postarał się o to, aby zaraz po przesłuchaniu wypuszczono go na wolność. Dwutygodniowy areszt miało mu podobno zrekompen-

sować owych tysiąc koron, które dostał od Březiny a które miały być użyte na znalezienie sprawcy.

Zasadnicza rozprawa przeciwko Josefowi Kochowi toczyła się przed ostrawskim sądem powiatowym 28 lutego 1939 r., a to dlatego że do 22 lutego akta jego sprawy leżały w ministerstwie sprawiedliwości w Pradze. Polski konsul reprezentował na rozprawie urzędnik Zygmunt Pławy. Wyrok opiewał na trzy tygodnie surowego więzienia bez zawieszenia i utratę prawa wyborczego. Skazany i prokurator na miejscu się odwołali, tak więc rozprawa nie została zakończona. Polski konsul krytykował niski wymiar kary i ostrzegwał, że to „wywoła niezadowolenie polskiego rządu, biorąc pod uwagę rozporządzenie nr 20 z 3 lutego 1939 r. mówiące o tym, że zniszczenie, uszkodzenie lub usunięcie godła obcego państwa jest wykroczeniem.”

Dyrektor Bača starał się argumentować niezależnością sędziów, zaczerpnął też informacji u prokuratora sądu okręgowego, Dr. Bosáka. Ten po przestudiowaniu akt sądowych stwierdził, że nie da się prawdopodobnie uzyskać wyższego wymiaru kary, ponieważ sędzia nie zszedł pod granicę określoną ustawą.

Inspektor Březina poradził Kochowi, aby, dla pewności, czym prędzej zniknął z Ostrawy. Koch wyprowadził się więc do Mistku, i tak wezwanie sądowe na nową rozprawę nie znalazło adresata i nie mogło być doręczone. Przeprowadzał się podobno jeszcze kilka razy, potem przyszli Niemcy i „zainteresowanie tą sprawą już ucichło”.

Opracowano na podstawie materiałów Morawskiego Archiwum Krajowego w Brnie, zespół Urząd Krajowy Brno-Akta Prezydiálne, k. 307. nr id. 2617/39 i Archiwum Krajowego Opawa, zespół Nadzwyczajny Sąd Ludowy, Ostrawa 1945-1948, Ls 187/47.